

Skrawek Nieba

11 marca 2016

Wstaje o świcie. Zazwyczaj o 4.30. Toaleta, krzątania, zbieranie drewna. Później codzienny rytuał – poranna kawa. Żyję po swojemu – mówi Jacek Pikuła. Niegdyś legenda Śląska. Dziś człowiek bezdomny.

Katowicach było instytucją. Dostał wiele prestiżowych nagród za społeczną działalność, w tym Honorową Odznakę Miasta Katowice, Order Uśmiechu. Ścisnął rękę Balcerowicza, Millera, Religi. Cztery razy był bohaterem programu „Zwyczajni niezwykajni”. W grudniu 2001 r. duży reportaż o jego działalności zrobiły „Fakty i Mity”. „Miałem dobre, ustabilizowane życie. Wielu było takich, którzy pytali, dlaczego na czas remontu nie zostawiłem dzieci. Głupie pytanie” – mówi dziś z zadumą.

„Dzięki Pańskiej działalności dzieci z rodzin najuboższych mają możliwość poznania niezwykłego świata. Świata przepełnionego atmosferą przyjaźni, dobroci oraz wrażliwości na sztukę i piękno” – tak kiedyś napisała do niego Jolanta Kwaśniewska.

Nic dziwnego. Wszak to on w centrum miasta, nie bacząc na pogodę, grał na gitarze i śpiewał, a uzbierane w ten sposób pieniądze przeznaczał na dzieciaki spotkane na dworcu, zabrane z ulicy. Stworzył dla nich azyl – dom, którego nie miały. Tutaj nie tylko odrabiały lekcje, ale też mogły brać udział w przeróżnych warsztatach, rozwijać swoje umiejętności pod okiem fachowców. Wreszcie – zamieszkać, jeśli była taka potrzeba. Włożył Pikuła w ten dom wszystkie pieniądze, jakie udało mu się zdobyć. Nazwał go Skrawkiem Nieba. Nacieszył się ledwie kilka miesięcy, bo przyszła wiadomość, że z powodu budowy Drogi Trasy Średnicowej dom zostanie wyburzony.

Pikuła jakoś tę gorzką pigułkę przełknął. Dostał w zamian

rudere – bez drzwi, okien i podłóg. Na otarcie łez – odszkodowanie. Nie wystarczyło nawet na wstępne prace w nowej siedzibie. Do „Skrawka” przychodziła wówczas ponad setka dzieci. Miejskie dotacje, jakie wcześniej na nie otrzymywał, zostały wstrzymane. Powód: brak siedziby. „Trzeba było ten obiekt zamknąć na czas remontu. Nie da się wszystkiego ugrać na gitarze – stwierdził wówczas nieżyjący już ks. Tadeusz Szurman, biskup Kościoła ewangelickiego w Katowicach, którego Jacek Pikuła był diakonem.

Pan Jacek nie potrafił dzieciom powiedzieć, żeby wróciły dopiero po remoncie. Toteż pracował z nimi dalej, żeby osłodzić niełatwe dzieciństwo. Choć niewielu o tym wiedziało, stanął też przed niełatwym wyborem: postawił na szali radość podopiecznych i uczciwość względem państwa. Wybrał dzieci, przestał płacić składki ZUS za pracowników „Skrawka”. Jednocześnie remontował rudere. Zaangażował kogo się dało – bezrobotnych, bezdomnych, a nawet samych podopiecznych. Czuli się dowartościowani, wszak pomagali przy budowie swojego domu. Już prawie byli na finiszu, brakowało tylko schodów, które spełniłyby warunki przeciwpożarowe, kiedy stało się nieuniknione – skończyły się pieniądze, a ZUS upominał się o swoje. Plus odsetki. I choć wstawiali się za Pikułą najznamienitsi mieszkańcy Śląska, nie pomogło.

„Zaniedbałem – posypuję głowę popiołem. Nie płaciłem składek ZUS, żeby mieć pieniądze dla dzieci. Kiedy przyszli mi ośrodek odebrać, oddałem wszystko. Łącznie z kwiatkami. Bibliotekę pełną nowych książek, pracownię komputerową, wyposażone sale do zajęć, zadbane podwórko z nowoczesnym placem zabaw, nowe mury, bramy... Wszystko zostawiłem. W myśl zasady: jak chcą ci zabrać szatę, daj też płaszcz. Przestałem walczyć. Spaliłem pamiętki, listy od dzieci” – wspomina. Znalazł się na ulicy. Szukało go i martwiło się wielu. Nikt przez lata nie trafił na ślad. Miasto zaledwie w kilka miesięcy kosztem 150 tysięcy złotych dokończyło to, co Pikułę przygniotło, a więc schody spełniające warunki przeciwpożarowe, a on w tym czasie toczył

heroiczną walkę z sobą.

Stawką w tej walce było życie. Jego życie. Tak, targnął się na nie. Ale urwała się linka... Popadł w depresję. Niewiele z tego okresu pamięta oprócz tego, że mieszkał pod mostem Poniatowskiego i regularnie przechadzał się Alejami Ujazdowskimi. Od kosza do kosza. W poszukiwaniu jedzenia.

„Ja wciąż wiele rzeczy przerabiam. Próbuję zrozumieć ten czas ciężkiej depresji, kiedy spałem pod mostem, wyjadałem z koszy na śmieci i nieraz przewracałem się z głodu. Marzłem, zalewał mnie deszcz i śnieg. Nikt mnie z tego nie próbował wyciągnąć” – mówi.

„Organizm powoli słabł. (...) położyłem się w jamie, którą znalazłem, i pomyślałem: „Tu już koniec”. Leżałem przez całe cztery doby. Już nie ja, ale moje ciało przekręcało się z boku na bok. Nie jadło, nie piło ani nie wstawało. Płakało. Nie wiem, jakim sposobem, ale wstałem i zacząłem schodzić do najbliższej miejscowości (...). Dotarłem do prywatnego łowiska (...). Zobaczyłem stertę starego chleba, służącego do zanęcania ryb. Wykorzystałem to, że nikt nie zwracał na mnie uwagi, zabrałem kilka kromek... Ile radości... (...). Przeżyłem!”

W końcu uciekł w góry. I tu został. Gdzieś pomoże leśniczemu, komuś narąbie drzewa. Latem nazbiera jagód i sprzeda w punkcie skupu. Przez cały rok mieszka pod namiotem. „To mój sposób na odreagowanie. Postanowiłem udowodnić, że sobie poradzę. Że poradzę sobie bez ludzi, NIP-u, PESEL-u i całej tej reszty” – uśmiecha się. Kiedy rozmawiamy, jest akurat w Beskidzie Sądeckim, ale – jak zapewnia – ciągle się przemieszcza. W ciągu pięciu dni średnio pokonuje 100 kilometrów.

„Lubię chwile spędzone z dala od ludzi. Lubię podzielić się kanapką z bezdomnym psem... Piszę teksty piosenek, które śpiewam. Podczas wędrówki staram się czyścić źródelka, wiaty... Lubię fotografować. Od jakiegoś czasu nie pałam chęcią zemsty do tych, dzięki którym sięgnąłem kiedyś po linkę. Staram się

być szczęśliwy na drodze, na której się znalazłem” – tak Jacek Pikuła pisze o sobie na swojej stronie www.fragmentyzdrogi.pl.

Między innymi dlatego Jacek Pikuła wybrał namiot. „Wolę umrzeć z głodu pod namiotem, niż miałbym pójść do noclegowni. No, chyba żebym nogi stracił, ale wtedy też bym kombinował, żeby żyć po swojemu” – mówi z uśmiechem. Pracownicy służb społecznych odbierają to negatywnie. Ich zdaniem noclegownia daje szansę. „Moim zdaniem – wytrąca energię. Narzuca sposób życia, nie dając nic w zamian. Bezdomny ciągnie bezdomnego w dół. Ludzie mają tyle problemów i kłopotów, że nie są w stanie sobie wzajemnie pomagać” – dodaje.

„Pamiętam, jak wyjmowałem go z koszy na śmieci, wycierałem z brudu... jak ukradkiem wyjmowałem z kosza wyrzuconą kromkę, czując się przy tym, jakbym ją kradł. Kiedyś ponad godzinę stałem w pobliżu pewnego autokaru wycieczkowego, bo któryś z jego pasażerów wyrzucił cały bochenek chleba. Stałem, stałem, stałem i modliłem się, żeby nikt tego chleba nie zobaczył i nie zabrał. Stałem i czekałem, żeby autokar odjechał, aby móc ten chleb wziąć.”

Kiedyś zobaczył, jak w telewizji dwóch strażników miejskich opowiadało, że bezdomny nie chce iść z altanki, bo w schronisku nie wolno pić. I choć niewiele rzeczy wyprowadza go z równowagi – to doprowadza go do szewskiej pasji. „Aż chce mi się kłąć. Przecież w ten sposób podaje się społeczeństwu informację, że wszyscy bezdomni piją!” – oburza się. Ma prawo. On nie pije. Jedyne nałóg, do którego się zresztą przyznaje, to papieros przy porannej kawie.

„Sięgnięcie po linkę było głupstwem. Olbrzymim głupstwem! Dar Wędrowania dał szansę. Na jeszcze jeden dzień, jeszcze jeden i jeszcze jeden... Górskie i leśne ścieżki koiły. I ludzie, których spotkałem i spotykam... drzwi dla mnie otwarte.”

O urzędnikach nie ma dobrej opinii. Wtedy, gdy opuszczał Skrawek Nieba, czuł się obrabowany w majestacie prawa. Przez

urzędników mających zakaz kierowania się sumieniem, miłosierdziem... „Teraz rozumiem, że pieniądze w naszym kraju bardziej potrzebne są na zachcianki, błahostki, premie, ośmiorniczki, kilometrówki... Od dziewięciu lat, mimo że posypało się moje życie zawodowe i osobiste, nigdy nie zgłosiłem się nawet o najmniejszą pomoc od państwa. Ludzkie miłosierdzie jest w stanie więcej zdziałać niż polityka społeczna” – mówi z przekonaniem.

„Wędrowanie moje to żaden wyczyn, sport. To uczenie się, żeby szanować spotykanych ludzi, być życzliwym. To docenianie otwartych drzwi gdzieś w górach, gdzieś w mieście, na wsi. Uczenie się, aby wychodząc jakimiś drzwiami, zawsze móc nimi po jakimś czasie wejść. Moje wędrowanie to zachwyt nad pięknem dookoła, smakiem wody źródlanej, porannym świtem..., ale zawsze w bólu przeszłości. To nie wyczyn – to wędrujący po korzeniach wspomnień nędzarz.”

Podnosił się i upadał, aż w końcu postanowił swoje życie opisać. W krótkich historyjkach, żeby Czytelników nie zamęczyć. Książka pt. „Skrawek Nieba. Poradnik nieporadny”, napisana w dworcowych poczekalniach oraz w namiocie rozstawianym na górskich łąkach, właśnie opuściła drukarnię. „Wiele rzeczy mnie dotyka i boli. Być może hardość, którą nasiąknęłam w dzieciństwie, sprawia, że patrzę na życie szerzej i to daje mi energię. Nie wiem, co się wydarzy po tej książce. Jedno wiem – nie wyobrażam sobie życia w mieście. Cieszy mnie cisza. Mam etat asystenta wschodzącego słońca” – Pikuła patrzy przed siebie zamyślony.

Autorstwo: Wiktoria Zimińska

Wykorzystano fragmenty książki biograficznej Jacka Pikuły

Kontakt z Jackiem Pikułą: zlinkawplecaku@gmail.com

Źródło: FaktyiMity.pl